

# Agnieszka Graff

## Kłopoty z ngo — post scriptum

Zmieniona wersja wystąpienia w dyskusji  
*Spółeczeństwo obywatelskie: mity i rzeczywistość*  
zorganizowanej w dniu 8 lutego 2010 przez Fundację im. Stefana Batorego

Mój tekst, który stał się impulsem do obecnej debaty o „ngo-izacji”<sup>1</sup> nie jest atakiem na organizacje pozarządowe, choć obawiam się, że tak został odczytany. W zamierzeniu był apelem o autorefleksję do środowisk, które od lat angażują się w budowę „społeczeństwa obywatelskiego” w Polsce — wobec ewidentnej słabości tegoż społeczeństwa. Zamiast narzekać, że Polacy są bierni i nieufni, a kapitał społeczny mizerny, proponowałam namysł nad tym, jak **pragnienie** aktywności, gdy już się pojawi, jest kanalizowane w obecnym systemie. Chodziło mi, najprościej rzecz ujmując, o związek między formułą działania sektora ngo’s a biernością Polaków. Nie twierdzę, że jest to prosty związek przyczynowo–skutkowy, ale upieram się, że te dwa zjawiska nie są całkiem odrębne.

Przyznam, że jestem zdumiona i oszołomiona szumem wokół mojego artykułu. Miał być swego rodzaju prowokacją, jednak do głowy mi nie przyszło, że okaże się najbardziej kontrowersyjnym i najszerzej dyskutowanym z moich tekstów. Wiele bym dała, by podobnym echem odbijały się moje rozważania o dominacji Kościoła katolickiego w polskim życiu publicznym, o katastrofalnych skutkach zakazu aborcji, o powszechnym przyzwoleniu dla przemocy seksualnej. W tych kwestiach polaryzacja poglądów jest znana, role dawno rozdane, a moimi czytelnikami są moi sojusznicy. Tymczasem teza o ngo-izacji idzie w poprzek środowiskowych i światopoglądowych podziałów, budzi emocje i spory, w których niełatwo przewidzieć, kto co powie. Z takich właśnie sporów wynikają czasem przetomy w zbiorowej świadomości, dlatego spore nadzieje wiąże z naszą dzisiejszą debatą.

Szum wokół ngo-izacji nie oznacza, że moja teza została zrozumiana zgodnie z intencjami. Nieporozumienie zaczęło się już na etapie publikacji. Zgodziłam się, co prawda, na wycięcie wątków sentymentalno–refleksyjnych, a także cytatów z *Imperium* Michaela Hardta i Antonio Negriego, które lokowały mój tekst w kontekście pewnej szerszej debaty, ale zostały uznane za „niezrozumiałe” dla czytelników. Jednak redaktorzy

---

<sup>1</sup> Agnieszka Graff, *Urzędasy, bez serc, bez ducha*, „Gazeta Wyborcza”, 6 stycznia 2010.

„Gazety Wyborczej” poszli dalej: opatrzyli artykuł sarkastycznym tytułem *Urzędasy, bez serc, bez ducha*, obsadzając mnie w roli prześmiewcy i demaskatora. „Urzędasów” zilustrowano zdjęciem tłumu zwolenników Radia Maryja, eksponując jako kluczową tezę moją uwagę — dopisaną przecież na marginesie głównej refleksji — o politycznej sile tego ruchu. Widząc taką oprawę mojej zachęty do rozmowy, zamarłam. Smutną refleksję nad stanem społeczeństwa obywatelskiego uznano za paszkwil na działaczy ngo’sów i pochwałę radykalnej prawicy. Co było dalej, wiemy. Skoro Graff atakuje społeczników wymyślając im od „urzędasów”, społecznicy bronią się, sugerując, że Graff to „romantyczka”, nieorientowana w realiach działania organizacji pozarządowych. Ngo-izacji nie ma i nie było, zdarzają się tylko pewne patologiczne organizacje pozarządowe.

Nie mówię tego, by się skarżyć na polemistów, zrzucić z siebie odpowiedzialność za własne słowa, czy oskarżać „Gazetę” o manipulację. Debata w prasie głównego nurtu ma swoje prawa — ma być przede wszystkim wyrazista. Rzecz w tym, że nie chcę brnąć dalej w taką polemikę. Nie pisałam paszkwilu. Nie twierdzę, że środowisko ngo’sów składa się z „urzędasów”, którzy popadając w profesjonalizm stracili „ducha”. Mój tekst jest niekonkluzywny, bo wyływa z poczucia bezradności. Motywem przewodnim było słowo „kłopot”, które umieściłam w tytule („Kłopoty z ngo’sami”). Zależy mi, by ten „kłopot” — nasz wspólny, bo związany z kondycją polskiej demokracji — pozostał w polu naszego widzenia.

Teoria społeczeństwa obywatelskiego zakłada, że przystawiony „człowiek z ulicy” staje się aktywnym obywatelem. Chodzi o „obywatelskość” jako postawę, formę uczestnictwa w życiu zbiorowym, czyli coś więcej niż obywatelstwo. Tymczasem, jeśli moja diagnoza jest trafna, to zaangażowanie się w „społeczeństwo obywatelskie” w jego obecnej formie jest dla człowieka z ulicy czymś zgoła niewykonalnym. Zamiast oddolnych ruchów i inicjatyw społecznych mamy całą masę profesjonalnych ngo’sów — mniejszych, większych, zajmujących się tym czy innym problemem, ale nieodmiennie zamkniętych na pragnienie „człowieka z ulicy”, by stać się częścią czegoś większego, wspólnego, dynamicznego. Nasz „człowiek z ulicy” bywa ngo’sów gościem (jeśli lubi debaty, a w szczególności panele) lub współpracownikiem (jeśli jest ekspertem i dysponuje wolnym czasem), a jeśli okaże się odpowiednio „wykluczony”, „dyskryminowany” czy „defaworyzowany” — zostanie odbiorcą ich usług (szkoleń, warsztatów, porad, stypendiów). Rzadko jednak trafia doń zaproszenie, by tworzyć coś wspólnie z innymi, stając się pełnoprawnym uczestnikiem jakiejś akcji czy działania. Gdy się taka okazja pojawia, człowiek z ulicy chętnie podejmuje wyzwanie, zbiera podpisy pod projektem ustawy, chodzi po ulicy z puszką i zwojem naklejek z serduszkami. Ale takie okazje pojawiają się rzadko i raczej nie miewają ciągu dalszego.

Zapytana, czy jej zdaniem ngo'sy się „zamykają” Janina Ochojska stwierdza w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”<sup>2</sup>, że jest wręcz przeciwnie. I wyjaśnia: szukamy „ludzi — prawników, inżynierów, specjalistów od finansów czy mediów. Z takimi środowiskami musimy współpracować, bo wtedy możemy pracować sprawniej.” Ta wypowiedź słynnej i szanowanej działaczki społecznej jest dla „kłopotu”, o którym mówię, symptomatyczna. Nie ma tu mowy o oddolnej mobilizacji ludzi, a tym bardziej o rekrutacji nowych członków; celem jest sprawność osiągania ustalonych z góry celów, a nie aktywizowanie kogokolwiek. „Otwartość” jest tożsama z poszukiwaniem zaplecza eksperckiego — dla Ochojskiej to oczywiste. Dla mnie to znak, że jest gorzej niż sądziłam.

Sama bywam w roli przydatnego „eksperta”, na którego „otworzyła” się jakaś organizacja. Ngo'sy zamawiają u mnie teksty, wciągają do rad projektów, zapraszają do udziału w debatach czy wewnętrznych naradach, bywam członkiem rad programowych, służę pomocą jako tłumaczka (za wynagrodzeniem lub bez). Nie zmienia to jednak mojego postrzegania ngo'sów, którym się „przydaję”, jako struktur zamkniętych. Ten zarzut wobec mojego tekstu słyszałam zresztą wielokrotnie — informowano mnie, że nie mówię ze środka, bo jestem spoza sektora organizacji pozarządowych. Skoro jednak po latach współpracy nie jestem postrzegana jako ktoś ze środka, to o jakiej otwartości tu mowa? Jak bardzo „w środku” trzeba być, żeby nie być outsiderem?

Odpowiedź jest prosta: trzeba mieć w ngo'sie etat. Aby zostać aktywnym uczestnikiem „społeczeństwa obywatelskiego” musimy albo postarać się o zatrudnienie w fundacji już istniejącej, albo założyć własną. Kłopot pojawia się, gdy ktoś chce zmieniać świat po godzinach pracy czy nauki, nie będąc ekspertem w żadnej dziedzinie. Jeśli jest się, powiedzmy, młodą osobą o sympatiach feministyczno-ekologiczno-„prawoczwolowicznych”, która nie chce zostać członkiem jakiejś partii i nie zamierza wiązać się zawodowo z sektorem NGO — to „społeczeństwo obywatelskie” w jego obecnym kształcie nie znajdzie dla nas żadnego zastosowania. Ktoś taki nie bardzo ma się do czego „zapisać” ani z czym „współpracować”. Może pójść na jakąś debatę, może przekazać 1 procent podatku. Tu i ówdzie — w bardzo nielicznych organizacjach — znajdzie jakąś formułę wolontariatu, ale wolontariat to przecież nie to samo co uczestnictwo.

Adam Bodnar i Jacek Kucharczyk<sup>3</sup> zdają się uważać, że w profesjonalizacji działalności społecznej nie ma nic złego. Przeciwnie, zawodowstwo jest istotną wartością, jeśli chce się być w nowoczesnym społeczeństwie skutecznym. Warto jednak odróżnić

---

<sup>2</sup> Ochojska: *pomagajcie NGO-som! Rozmowa z założycielką Polskiej Akcji Humanitarnej* [z Janiną Ochojską rozmawia Adam Leszczyński], „Gazeta Wyborcza”, 21 stycznia 2010.

<sup>3</sup> Adam Bodnar, Jacek Kucharczyk, *Romantycznie i rozważnie. Organizacje pozarządowe. Polemika z Graff*, „Gazeta Wyborcza”, 19 stycznia 2010.

„profesjonalizm” jako pewien zestaw umiejętności etatowych działaczy organizacji społecznych od „profesjonalizacji” ruchów społecznych — czyli mechanizmu, który sprawia, że bez wiedzy eksperckiej i gotowości do podjęcia pracy etatowej człowiek pozostaje outsiderem. Tak rozumiana profesjonalizacja jest, moim zdaniem, zjawiskiem groźnym dla demokracji.

Nie twierdę, że Polacy są społeczeństwem aktywnym, pełnym wzajemnego zaufania, a nasz „człowiek z ulicy” aż dygoce z chęci działania, którą niszczą złe (bo profesjonalne) ngo’sy. Wiem doskonale, że statystyczny człowiek z ulicy jest głęboko nieufny wobec innych ludzi z ulicy (nawet tej, na której mieszka), a jedyna grupa, z którą się identyfikuje, to jego rodzina. To, co socjologia nazywa niskim kapitałem społecznym — czyli brak zaufania, słabość więzi międzyludzkich — ma oczywiście wiele źródeł, głównie historycznych, a także związanych z modelem edukacji, która „człowieka z ulicy” ukształtowała. Ja twierdę, że do tego stanu rzeczy przyczyniają się także instytucje, które z założenia miały go zmieniać. Organizacje pozarządowe zamiast wzmacniać postawy obywatelskie, przemawiają do ludzi językiem grantów i oferują im rozmaite usługi.

Choć trudno to zauważyć w tekstach moich polemistów (zwłaszcza Bodnara i Kucharczyka), „kłopot”, o którym pisałam, jest od dawna przedmiotem namysłu wielu działaczy trzeciego sektora. Działaczki organizacji kobiecych, z którymi przeprowadziły wywiady współautorki książki *Współpraca czy konflikt? Państwo, Unia i kobiety*<sup>4</sup> mówią o każdej z tych bolączek: o profesjonalizacji organizacji społecznych, o ich uzależnieniu od grantodawców, o usługowej relacji, w jakiej znaczna ich część pozostaje wobec państwa, przy jednoczesnej arogancji władz państwowych wobec postulatów środowisk kobiecych. Mówią też, choć może mniej dobitnie niż ja, o swoim dyskomforcie wobec zaniku języka wartości i idei, który ustępuje miejsca chłodnemu i bezosobowemu językowi biurokracji. Jeśli moja diagnoza jest radykalna, to nie dlatego, że wymieniam te problemy, lecz dlatego, że widzę ich wspólne korzenie, twierdę, iż mają one charakter strukturalny. I tu zresztą nie jestem odosobniona — o ngo-izacji się w środowisku trzeciego sektora mówi, choć może za rzadko pisze.

Po pierwsze, pewne zjawiska widać gołym okiem, po drugie — Polska nie jest wyspą. Ludzie uczestniczą w debatach międzynarodowych, pracują za granicą, dyskursy i doświadczenia się przenikają. Oto jeden z wpisów na (dość burzliwym) forum pod moim tekstem na portalu „Gazety”: „Spędziłem trochę czasu w dużym międzynarodowym ngo i miałem okazję przekonać się, że problem ten nie dotyczy tylko nas, Polaków. Po przekroczeniu pewnej masy krytycznej, stosunkowo niewielkiej zresztą, ngo zupełnie tracą

---

<sup>4</sup> Małgorzata Fuszara, Magda Grabowska, Joanna Mizelińska, Joanna Regulska, *Współpraca czy konflikt? Państwo, Unia i kobiety*, Warszawa 2008.

z pola widzenia ludzi. Stają się koszmarnie zadaniowe, a te zadania muszą mieć szansę zaistnieć w szerszej świadomości społecznej, by można je 'spieniężyć' w formie grantów, darowizn, etc. I wszystko jest niby OK, bo w takim żyjemy świecie, najlepszym z możliwych podobno, ale jednak coś szybko przestaje grać. Zwykli ludzie, ich problemy, praca u podstaw nagle przestaje się opłacać. Trzeba zaistnieć, przebić do mediów, być seksy, albo łapać za gardło. Być skutecznym. A żeby być skutecznym i seksy nie warto ładować się w sprawy beznadziejne, trudne, albo niemedialne. Chyba, że jest jakaś dotacja z Unii, to można zaryzykować. Stosunkowo szybko, idealiści zaczynają tworzyć karykatury ładu korporacyjnego. Stają się profesjonalnymi profesjonalistami. Używają absurdalnego języka, nie rozmawiają, tylko wysyłają do siebie emaila. Odgrywają role ustawicznie przepracowanych, niedostępnych idealistów... budują mury, za którymi kwitną konflikty interesów frakcji walczących o kompetencje i pozycje w strukturach, tak rozbudowanych, że głowa boli. Gorsze korporacje? ..."<sup>5</sup>

Wanda Nowicka nie widzi związku między działaniem organizacji pozarządowych a nikłą aktywnością obywateli<sup>6</sup>. Jej zdaniem krytykowanie organizacji pozarządowych za to, że nie są ruchami społecznymi to nieporozumienie. Nie są, bo nigdy nie miały nimi być. Mają inne zadania. Jednak te pretensje nie wzięły się z księżycy. Obecne rozczarowanie ma swoje korzenie w dawnych nadziejach. Historycznie rzecz ujmując, to co uległo organizacji to właśnie ruchy społeczne lub aktywność ludzi, którzy mogliby takie ruchy tworzyć. Nie tylko ja tak myślę. Jak pisze socjolog i działacz ruchów ekologicznych, Adam Ostolski: „Proces odchodzenia od prób masowej mobilizacji do lobbingu i działań kulturalnych dotyczył w latach 90. nie tylko ruchu ekologicznego, lecz także feministycznego i na mniejszą skalę lesbijsko-gejowskiego. [...] Wszystkie te ruchy zmuszone więc były szukać sojuszników w świecie władzy i wśród opiniotwórczych elit, mobilizację 'na dole' zastępować tworzeniem sojuszy 'na górze' i budową własnych profesjonalnych struktur.”<sup>7</sup>

W przypadku ruchu feministycznego zwrot ten był w dużej mierze spowodowany klęską komitetów Bujaka — ruchu obywatelskiego, który na początku lat 90. domagał się referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Fakt, że demokratycznie wybrany parlament pod presją biskupów zignorował 1,3 mln podpisów pod petycjami stanowił dla uczestników ruchu bolesną lekcję bezradności. Wanda Nowicka jest jedną z kluczowych postaci tych zdarzeń — tym bardziej dziwi mnie, że nie dostrzega ich wewnętrznej logiki. Przejście

---

<sup>5</sup> klaryska7, 08.01.10, 22:11.

<sup>6</sup> Wanda Nowicka, *Ngo-sy od wewnątrz. Społeczeństwo nie chce się organizować*, „Gazeta Wyborcza”, 16 stycznia 2010.

<sup>7</sup> Adam Ostolski, *Krótki kurs historii ruchu ekologicznego w Polsce*, w: *Ekologia. Przewodnik*, Warszawa 2010, s. 413.

do formuły ngo'owej było po części racjonalną reakcją na zderzenie z granicami polskiej demokracji. Można nawet twierdzić, że ruchy społeczne uległy rozbiciu, a ich resztki znalazły schronienie w organizacjach pozarządowych. Nie zmienia to faktu, że jest to formuła sprzeczna z ideałami demokracji uczestniczącej i społeczeństwa obywatelskiego.

O pełnej napiętej relacji między oddolnymi ruchami społecznymi a organizacjami pisał pod koniec lat 90. Jacek Kuroń: „choć organizacje i ruchy społeczne są ze sobą ściśle związane, to jednocześnie ich sposoby działania są tak odmienne, że stale występuje między nimi napięcie czy wręcz konflikt”.<sup>8</sup> Z jednej strony ruchy społeczne o złożonych zadaniach muszą powoływać organizacje zatrudniające etatowych pracowników, by skutecznie realizować swoje cele. Z drugiej strony bywa tak, że ruchy stają się tylko organizacjami („aktywni są w nich wyłącznie etatowi pracownicy w ramach swoich służbowych obowiązków”) — a wówczas instytucje te przestają kogokolwiek reprezentować, zamieniają się w słabe urzędy lub kiepskie przedsiębiorstwa.

Paradoks polega na tym, że społeczeństwo obywatelskie rozumiane jako swobodna, oddolna aktywność obywateli jest tym słabsze, im bardziej ngo'sy rosną w siłę. Przemysław Sadura w tekście opublikowanym w cyklu „Gazety”<sup>9</sup> posłużył się tu metaforą z tekstu Slavoja Žižka — o śmiechu z puszki w serialach komediowych, który śmieje się *za nas* zamiast zachęcać do śmiechu. Ludzie czują się zwolnieni z obowiązku, a nawet wyzuci z potrzeby zaangażowania, bo dość powszechne jest odczucie iż „od działalności” są ngo'sy. Z perspektywy zawodowych działaczy nasz „człowiek z ulicy” jest tylko przeszkadzaczem, potrzebni są wszak, jak to ujęła Ochojska, „prawnicy, inżynierowie, specjaliści od finansów czy mediów”.

Przyczyny tego stanu rzeczy — jeśli już uznamy jego istnienie — opiszemy różnie w zależności od światopoglądu. Liberat zadowolony ze *status quo* odmówi rozmowy twierdząc, że ngo'sy i ruchy społeczne to byty od siebie niezależne, więc cała debata jest bezprzedmiotowa. Liberat-idealista będzie szukał „błędu w systemie” — zaproszenie do debaty w Fundacji Batorego odczytuję jako zachętę do takich właśnie poszukiwań. Konserwatysta pokiwa głową z satysfakcją — prawica od dawna krytykuje koncepcję społeczeństwa obywatelskiego jako wytwór lewicy, a jej „kryzys” uważa za przejaw klęski lewicowych idei. Współczesna wrażliwość lewicowa każe natomiast podejrzliwie patrzeć na tę koncepcję i system, który z niej wyewoluował.

---

<sup>8</sup> Jacek Kuroń, *Na krawędzi. Świat bogatych — świat biednych — Polacy — samorządna Rzeczpospolita*, Warszawa 1997.

<sup>9</sup> Przemysław Sadura, *Cherlawe organizacje społeczne. Samoorganizacja się sama nie robi*, „Gazeta Wyborcza”, 2 lutego 2010.

Z tej perspektywy ngo-izacja to sposób, w jaki neoliberalne państwo radzi sobie ze społecznym niezadowoleniem, wypychając je poza obszar właściwej polityki. Ruchy społeczne są z natury antysystemowe, w tym sensie, że dążą do zmian w systemie. Ngo-izacja powoduje, że zamiast renegocjować zasady gry, w której masa ludzi zostaje na pozycji „wykluczonych”, przeciwnicy polityczni neoliberalizmu zajmują się ich „szkoleniem” i „aktywizacją” oraz niekończącym się ubieganiem o granty i rozliczaniem grantów na ową aktywizację i szkolenia. Analogicznie, feministki zapominają o mobilizacji kobiet i obalaniu patriarchy, zamiast tego udzielają porad prawnych jego ofiarom. Zamiast organizować ludzi, którym jakiś problem doskwiera, fachowo zarządzamy problemem. Mechanizm instytucjonalizacji ruchów społecznych to przejaw siły samoreprodukującej się władzy. Władzy, która wchłania ewentualnych kontestatorów, czyniąc z nich pracowite mróweczki, profesjonalną kadrę obsługującą *status quo*.

Można oczywiście twierdzić, że przy okazji zmienia się samo *status quo*, bo idee „wchłoniętych” ruchów społecznych przenikają do głównego nurtu kultury i polityki. Wiele osób widzi tu także „rozwagę”, konieczną adaptację dawnych idealistów do nowych warunków — antypolityczność to sposób działania w epoce postpolitycznej. Ja jednak uważam aktywność „człowieka z ulicy” za wartość samą w sobie — twierdzą, że nie warto jej poświęcać na rzecz skuteczności. Nie wierzę też w postpolityczność jako stan rzeczy; widzę w niej raczej ideologię, która nijak się nie ma do demokracji. Ulegając jej, poprawiamy sobie samopoczucie, ale wzmacniamy w ludziach odruch bierności i nieufności. Uważam, że czas wyjść poza rytuał narzekania na „bierność społeczeństwa”, które — nie wiedzieć czemu — „nie chce się organizować” i zobaczyć systemowe granice aktywności społecznej.